

Mustruję jako starszy marynarz

Agencja Morska pośredniczyła w załatwieniu kontraktu. Mój pierwszy zagraniczny statek to zbudowany w Malmö w latach 1945-1946, tankowiec o nazwie „Havsborg”, pływający pod banderą Królestwa Szwecji na linii Gdańsk-Batumi, portem nad Morzem Czarnym.

Gdy wygasł kontrakt na dostawę ropy, skierowany został do obsługi na linii Curaçao w Antylach Holenderskich na Morzu Karaibskim, a portem docelowym został Amsterdam w Holandii.

Na ten statek w porcie przy Bazie Paliw w Gdańsku wszedłem pierwszy raz po trapię. Nie zastanawiałem się, za ile, nieważne było stanowisko. Na miejscu dowiedziałem się, że będę pomocnikiem kucharza, czyli tzw. trzecim jarzynowym. Niech tak będzie... tacy też są potrzebni.

Długo w kuchni nie zabawiłem. Przeszedłem do mesy na stewarda. Na tym stanowisku odbyłem jedną podróż. Musiałem przyspać do gustu, bo szef z maszyny w porozumieniu z kapitanem przeniósł mnie do maszyny na stanowisko motormana (motorzysty). Dla mnie był to niebywały awans. Ale wszystko co dobre nie trwa wiecznie. Tak było ze mną.

Po dość długim postoju na lądzie, dobrze zrobiły mi rejsy na tym tankowcu. Po zejściu okrzepłem, poczułem się znów marynarzem.

Odczekałem wiele miesięcy, by ponownie znaleźć się na burcie. Nie próżnowałem, bo po tak długiej rekonwalescencji nie byłem już sam... byłem z Nią.

Kapitan, posiadający obywatelstwo brytyjskie, Polak zasiedziały w Anglii od czasów II wojny światowej, za namową superintendenta pana Luno, przedstawiciela armatora holenderskiego z Amsterdamu, znalazł się w Polsce, kraju swojego dzieciństwa i młodości. Objął dowództwo statku, na którym płynąć miałem w charakterze starszego marynarza. Ponieważ nigdy nim nie byłem, więc szyko-

wała się niezła frajda. Nie ja jeden na ten statek się pchałem. Miła pani, która mnie skierowała, doskonale wiedziała, że ja nie jestem z pokładu.

A niech tam... pomyślałem, przyuczę się przy tych, co na statku będą, pokażą co i jak, i będzie ok. Kapitan nie musi być od razu zorientowany, że ma na pokładzie motorniczego w charakterze marynarza.

Z okienka jak bulaj w burcie statku wyglądała z zaciekawieniem na korytarz sympatyczna twarz pani Wandzi, która była naszym „kołem ratunkowym”, skarbnicą. Dla niej nie było żadną tajemnicą, kto kim był wcześniej na statku i z jaką prośbą aktualnie do niej przychodzi. A takich jak ja, poszukujących pracy, było wielu.

W środowisku marynarskim była lista zarejestrowanych marynarzy, która tworzyła tzw. rezerwę bezpłatną, inaczej mówiąc byliśmy bezrobotni. Z nadzieją, że los nam się znów odmieni a wcześniej było tak...

Wiadomo było, co kto mówił np. w mesie, na pokładzie, w kabinie; po powrocie do macierzystego portu następowała weryfikacja załogi. Po roku 1956 w wyniku tzw. odwilży odbywały się spotkania, zebrania pokrzywdzonych. Organizowały się dyskusje, powstawały Związki Zawodowe Marynarzy i Rybaków Dalekomorskich.

Następstwem tego nurtu było oczyszczanie z zarzutów marynarzy zwolnionych w okresie głębokiego socjalizmu i „kultu jednostki”.

Stalinizm na tym środowisku wywarł swoje piętno i niejednemu z braci marynarskiej zwichnął karierę.

W bezpłatnej rezerwie roilo się od różnych specjalności wymaganych na statku. Gama usług obejmowała od najniższego do najwyższego szczebla w hierarchii jakie pożądane są na statkach pełnomorskich. W rezerwie było zarejestrowanych setki marynarzy. Armatorzy obcych bander, przeważnie Szwedzi, Finowie, Norwegowie, Niemcy, mogli w tamtych latach korzystać z taniej a wysoko wykwalifikowanej kadry. Wiedzieli, że lepszych marynarzy nie znajdą.

Biuro pani Wandy znajdowało się w pomieszczeniach Urzędu Morskiego przy ul. Chrzanowskiego w Gdyni.

We wrześniu 1960 roku załatwiałem swoje sprawy związane z zaokrętowaniem na statek bandery indonezyjskiej. Pomyślałem, że przede mną egzotyka, co prawda oddalona o tysiące mil morskich, ale...

Statek miał wyjść w morze nazajutrz wieczorem, dlatego należało się spieszyć. Spraw nie załatwionych, które wymagały biegania,

było sporo. Miałem już pewne doświadczenie w tego rodzaju przedsięwzięciach, no i ciekawość brała górę.

Od razu wszystko chciałem wiedzieć. Dlatego zwróciłem się do skarbnicy wszelkich wiadomości, nieocenionej pani Wandzi. Wyciągnąłem z niej to, że kapitan przyleciał z Londynu, jest Polakiem, również powiedziała z uśmiechem, że zamustrowanych zostało jeszcze trzech marynarzy, podobnych do mnie.

– Jak to podobnych?

Jeszcze raz uśmiechnęła się. – Znaczy, że są to ludzie z maszyny a nie z pokładu?

– Spokojnie, to też są marynarze z krwi i kości. I jest więcej niż pewne, że w takim kolektywie dacie sobie doskonale radę. Jeden drugiego będzie wspierał i uzupełniał, dlatego właśnie ich skierowałam.

– Jeszcze jedną, maleńką informację, pani Wandziu, a ten statek jest duży czy mały, stary czy nowy?

– Nowy, panie Konradzie, prosto spod stępla, budowany w stoczni Komuny Paryskiej. To będzie jego dziewiczy rejs, panie starszy marynarzu.

– Proszę, niech pani ze mnie nie żartuje. Zależy mi na pracy.

– Powtarzam to raz jeszcze, zbudowany i zwodowany w stoczni Komuny Paryskiej, stoi przy nabrzeżu Rudowym. Załadunek, o ile wiem, nie zakończony, dodam, że jego pojemność to 677 BRT, zatem to mały stateczek. Płynąć będziecie tylko na out. Portem macierzystym statku i przeznaczenia jest Dżakarta na wyspie Jawa. Powrót drogą powietrzną. Zazdroszczę panu tej podróży. Samolot w programie, po prostu będziecie odprowadzać statek zakupiony a zbudowany w Gdyni dla armatora z Dżakarty.

Załoga jeszcze nie w komplecie, brakuje pierwszego oficera, a Polak, nie Hiszpan oczekiwać będzie w służbie Kanału Kilońskiego. On i pozostali, II oficer jest na statku, też Polak, ale mieszkający na stałe w Anglii.

– Dziękuję pani, jak zawsze.

– Czego się pan boi?

– Niczego, ale dobrze jest wiedzieć, z kim będzie się miało do czynienia. Zresztą, co za różnica czy Polak, Hiszpan czy innej nacji matros.

– Panie Konradzie, już nic więcej nie powiem, tyle co wiedziałam, powiedziałam.

– Pani jest niezawodna, jak zawsze.

– Zatem do widzenia, stopy wody pod kilem, proszę się pośpieszyć – upomniwała mnie jeszcze.

Rzeczywiście, pozostało mało czasu.

– Jeszcze raz dziękuję, za wszystko! Do zobaczenia. Jak szczęśliwie wrócę, zaraz się do pani zgłoszę.

– Prosimy o nas nie zapominać, panie Konradzie.

– To się rozumie samo przez się, obiecuję przesłać widokówkę z któregoś portu, już mnie nie ma...

Wiem, jak dobrze jest upewnić się, kto przed nami wszedł na pokład, zaokrętowany jako pełnoprawny członek załogi. Jacy oni są? Z kim będę szlifować pokład? Na statku już czekano. Praca też będzie harówką, oj będzie. O tym wszystkim wiedziałem, nie potrzebowałem wysilać wyobraźni.

Koledzy, którzy też czekali w korytarzu na swoje przeznaczenie, spytali gdy się do nich przyłączyłem, że statek, ten co ma zostać odprowadzony do Indonezji, czy nie nosi nazwy „Duwet”? Właśnie taką przyjął nazwę, przytaknąłem.

– No to gratulacje, na niego zamustrował Kazek, secundo Zygmunt Gorodecki, Mikołaj Sołochób, a kto jeszcze? – pytam, wiesz kto? Gdybym wiedział, nie pytałbym się. Kolega stojący obok już chciał wymieniać nazwiska, ale drugi stojący obok powstrzymał go.

– Milcz – powiedział temu, który już miał wyjawić personalia.

– Kogo wysłali na ten statek? Czy go znam?

– Prawie cała flota go zna, znają wszyscy i ty też o nim słyszałeś – odezwał się ten, z którym wcześniej dłużej gawędziłem.

Jureczka podesłali na statek, aż podskoczyłem: Jureczka!?

Pierwszych dwóch znałem z ulicy portowej, z długich godzin wspólnego wyczekiwania na korytarzach Gdyńskiego Urzędu Morskiego. Podobał mi się. Fajne chłopaki. Ale tego Jureczka, owszem, znałem z widzenia, z opowiadań innych. To ten człowiek o pomarszczonej jak wysuszona mandarynka twarzy ma płynąć z nami w ten rejs? Nie chciało mi się wierzyć. Obawy moje były uzasadnione.

– Uciekam. No to cześć!

– Cześć Konrad, trzymaj się!

Coś tam jeszcze mówili, zapewne jakieś słowa otuchy, ale już ich nie słyszałem. Wyszedłem z gmachu Gdyńskiego Urzędu Morskiego.

Tyle miesięcy oczekiwania na statek, powinienem skakać z radości, cieszyć się, ale daleki byłem od takiego nastroju. Głowa naładowana sprzecznymi uczuciami, nawet nie reagowałem na pozdrowienia mijających mnie kolegów, znajomych.

Kroki skierowałem w stronę portu. Odległość niewielka od Biura Angażowania Załogi. Na bramie okazałem strażnikowi przepustkę, skierowanie też. Przepuścił.

W odległości niespełna stu metrów wyłonił się stojący przy nabrzeżu statek. Za nim przycumowany był jeszcze jeden większy, zatem tylko ten mniejszy jest tym, którego szukałem.

Odbynał się na nim załadunek. Długie ramiona dźwigów portowych pochylały się nad ładownią, pochylały się w ukłonie nad statkiem, ostrożnie przenosząc z lądu skrzynie, które za chwilę znikają w jego wnętrzu.

Pospiech, jaki sobie narzuciłem, miał na celu przekonanie się, by możliwie jak najszybciej zobaczyć Jureczka, legendę i wątpliwą ozdobę korytarzy armatora na własne oczy.

Stał przy trapie maleńki, pomarszczony, istne nieszczęście o wpadniętej górnej wardze, kędzierzawej, siwej czuprynie. Okulary wielkie, w rogowej oprawie, zsunięte na szeroki, spłaszczony nochal.

W pierwszej chwili nie zauważył jak wchodziłem po trapie. Pochłonięty całkowicie sprawdzaniem przepustek, skrupulatnie oglądał je znad okularów schodzącym robotnikom, którzy szli na przerwę. Gdy już znalazłem się przy nim na pokładzie, raczył mnie zauważyć, prawie stanąłem mu na palce. Zlustrował mnie od samych stóp, jakby chciał sprawdzić, z czym przyszedłem. Przyjrzał mi się, niby z góry, i niby poznał swojego. Dobrze musiał zadzierać nosa, on taki mały, niepozorny, istny karzełek.

Więc musiał jednak poznać, może wyczuł, bo przepustki nie żądał. Tylko wprost pyta, czy zamustrowałem. A za kogo – dopytuje się dalej. – Za starszego marynarza.

– To tak jak ja, też starszy.

Nie chce mi się wierzyć. Co o nim myślę, nie wie, ale mówię – to widać od razu. A tych dwóch? Czy są już na burcie, chciałem się upewnić.

– Tak, może gdzieś w kuchni.

– Dobra, dziękuję.

Idę ich szukać, a kuchnia gdzie?

– Są dwie, idź do tej na midshipie, wejście od drugiej strony.

Dlaczego aż dwie kuchnie na tak małej łajbie, zastanawiałem się. On szelma już wiedział, bo zdążył mi wyjaśnić. Statek ma specjalne przeznaczenie, jest przystosowany do przewozu pielgrzymów buddyjskich do miejsc świętych. Może uda się nam popłynąć z taką wycieczką do tych miejsc? Co on plecie? Ale się rozmarzył.

– A chciałbyś? – zapytałem.

– No pewnie.

– Jureczek, idę.

Ale on przytrzymał mój rękaw od bluzy, wyszarpał z tylnej kieszeni przybrudzonych dunkrów książeczkę żeglarską, którą mi pokazuje.

Nagle pojawili się Mikołaj i Zygmunt, usłyszeli moją z Jureczkiem rozmowę. Przywitałem się z nimi serdecznie. Ubrani zupełnie jak nie do pracy. Okazało się, że oni też dopiero oglądają statek. Czekali nie wiadomo na co.

Zainteresowanie łajbą było wspólne. Jureczek nie daruje, wręcza mi swoją książeczkę żeglarską, otwiera właściwą stronę. Nie byłem zainteresowany, ale nalegał, bym przeczytał. Rzeczywiście zapis był: nazwisko imię, zaokrętowny na statek z dniem, na czas nieokreślony, stanowisko starszy marynarz, pieczętka, podpis. Wystarczy.

Znaczy będzie razem z nami się męczył lub tylko przeszkadzał. Ale nie uprzedzajmy faktów.

Jureczek był dumny jak paw, pełen optymizmu, najwidoczniej funkcja mu odpowiada – starszy marynarz.

Niezły psycholog, znawca dusz marynarskich skierował go na taki statek. Tylko czy kapitan też będzie nim tak zachwycony, jak on sobą? To się dopiero okaże.

Mandarynka w końcu pozostawił nas samych, lustrując trap i to co się dzieje na nabrzeżu.

– Panowie, może przejdziemy do mesy. Tam sobie porozmawiamy.

– Racja. Każdy z nas chce się urwać do domu, czy nie tak?

– Co? Wszystkie urzędowe sprawy już macie pozałatwiane? Bo ja nie.

Mesa zavalona była spiętrzonymi krzesłami, kartonami, z niektórych wyglądały dzióbki czajników do herbaty. Koce z wielbłądziej wełny złożono w jednym rogu mesy. Duża ich sterta była przeważnie w kolorze dojrzałej cytryny. W nieładzie porozrzucane garnki, patelnie, łyżki różnej wielkości i kształtu. W ogóle był to majdan sprzętu hotelowo-kuchennego, po prostu z mesy zrobiono magazyn. Ale nie to było najważniejsze, co jest tu złożone i na czym kto siedzi. Ważne, jak będziemy płynąć, jak wy sobie to wyobrażacie?

– Mikołaj, Zyga, jak to z nami będzie? – zwróciłem się do swoich partnerów, w szukaniu tej wątpliwej egzotyki. Może ona nie nastąpi, jak się wyda?

– Może ty najlepiej to wyjaśnisz, Zygmunt?

Znałem go na tyle dobrze, wiedziałem, że człowiek obdarzony taką intuicją jak on, nieźle w skrajnych sytuacjach życiowych daje sobie radę. Pełen tupetu każdą przeciwność losu bierze na wesoło.

Jureczek był poza nawiasem naszego problemu. On nie miał wygórowanych ambicji. Zrobili go starszym marynarzem i basta. W normalnych warunkach pływania, żeby nim zostać, trzeba wspiąć się po strzeblach, najpierw praktykantem pokładowym trzeba być, następnie młodszym marynarzem, kolejny przeskok to marynarz. I taki adept zawodu pracuje na statku nie wiadomo jak długo, by dostąpić zaszczytu i zostać pełnym starszym marynarzem. Reguły nie ma, fach swój musi dobrze opanować.

– Wiemy, że Jureczek jako taki marynarzem nigdy nie był. W czasach młodości pływał za trymera palacza na parowcach jakimi były s.s. „Toruń”, s.s. „Narocz” i na innych też, zawsze jednak pod pokładem, nigdy na pokładzie.

A najczęściej wycierał korytarze GAL-u, następnie u armatora jakim zostały Polskie Linie Oceaniczne. Ja myślę, że z nim kłopotu mieć nie będziemy. Stary wyrzuci go ze statku przy pierwszej nadarzającej się okazji, jak się zorientuje, kogo mu podesłali – zawyrokował Mikołaj.

– Ale co z nami? Musimy uzgodnić stanowiska na pierwsze spotkanie z kapitanem. Jak wiemy, on jest przekonany, że przysłali mu starszych marynarzy, czyli A-B, ale wiadomo kim jesteśmy. Który z nas stał na sterze, bywał na mostku, opuszczał i podnosił baumy, kładował liny, robił klar na pokładzie? Wiemy ostatecznie, że te czynności wykonywać będziemy. Taka będzie nasza rola do odegrania. Chłopaki, nie możemy dopuścić do tego, by ośmieszyć się w oczach starego z Anglii. On obierze kurs i poprowadzi statek do Indonezji. A my?

– Może wreszcie coś powiesz, Zygmunt. Jak sobie wyobrażasz tę podróż z takimi jak... Lepiej nie dokończyć.

– Gadaj, czas ucieka.

Tylko się uśmiechnął. Jego czerwona, puciołowata gęba nabrała rumieńców, oczy przymrużył jak przed blaskiem promieni słonecznych. A może licho coś sobie przypomniał? Ale co?

– Otóż powiem wam tak: pływałem swego czasu na pokładzie.

– Ale zdążyłeś wszystko zapomnieć, wywiało z głowy. Nie mam racji?

– Niezupełnie – odpowiedział. – Nie gorączkuj się, Konrad, właśnie jest okazja, bym sobie na tej łajbie wszystko przypomniał. I zrobię to.

– A zatem arkana pracy na pokładzie nie są tobie obce.